

# Kronika tygodniowa.

Skończył się wielki Post, a z nim rozmyślania, nie skończyły się przecież „gorzkie żale“, które będą trwać przynajmniej tak długo, dopóki nie wyczyszczymy czarne na białem, że pokój już zawarty.

Kiedy to jednak nastąpi, nie każdy może przewidzieć. Nie wie tego nawet pani de Thèbes, a tem bardziej ja, zajmujący się obecnie więcej ewakuacją, niż polityką na wielką skalę. To jedno jest pewnem, że nie brak takich, którzyby byli bardzo zadowoleni, gdyby tak wojna pociągnęła się w nieskończoność.

W pierwszym więc rządzie Anglicy powiadają, że dopóty nie spoczna, póki nie zniszczą zupełnie niemieckiej potęgi, zwłaszcza na morzu, to samo powtarzają Niemcy pod adresem Albionu.

I łatwo stać się może, że oba państwa postawią na swoim i powtórzy się historia Radziwiłłowskich myszy, które zjadły się nawzajem, tak, że na polu walki pozostały tylko dwa ogony, jako dowody ich męstwa.

Stany Zjednoczone nie miałyby także nic przeciw temu, gdyby wojna europejska nieco się przeciągnęła, przestrzegając bowiem pilnie zasad neutralności, sprzedają tymczasem trójporozumieniu najrozmaitsze materiały wojenne, wychodząc z bardzo praktycznej zasady, że swoją drogą uczciwość, swoją zaś interes, o którym trzeba przedewszystkiem pamiętać. Kto ma dziś pieniądze, temu się kłaniają, choćby jedną nogą siedział już w kryminale, albo dopiero stamtąd powrócił.

Japończycy także są tego zdania, że im dłużej potrwa wojna, tem prędzej załatwią się z Chinami, wiadomo bowiem, że, gdzie się dwu bije, tam trzeci korzysta, a i oni znani są ze swej praktyczności.

Podam tylko kilka przykładów, jest ich zaś daleko więcej, ja jednak nie jestem historykiem, tylko kronikarzem, każdy mi to więc wybacz. Dodam jednak od siebie, iż i u nas jest sporo ludzi, którzy wojnę sobie chwala, bo na niej zrobili już, lub robią wcale przyzwoite interesy, narzekają na nią zaś dopiero wtedy, gdy n. p. automobil poniesie ich zbyt daleko i mimowoli, zamiast gdzieindziej, znajdą się w dwupiętrowym budynku przy ulicy Montelupich.

Żył ongiś w Krakowie, jeśli się nie mylę, gdzieś na Podbrzeziu, sławna Ryfka, zwana „gęsiarką“, która w wolnych od zajęcia zawodowego chwilach trudniła się wróceniem z kart i cieszyła bardzo liczną klientelą nie tylko sług, stróżek i t. d., ale i osób z inteligencji. Przepowiednie jej podobno zawsze się spełniały, czy to wcześniej, czy później, opowiadało mi, że krakowsko-kazimierska Pytka wyrzuciła pewnej pani, iż „mimowoli znajdzie się dziś w pewnym miejscu...“ i tak się też stało.

Do onej to niewiasty postanowiłem skierować swe kroki, by się dowiedzieć, kiedy można spodziewać się końca wojny, niestety, powiedziano mi, że już dawno przeniosła się na łono błogosławionego ojca Abrahama, a niewiadomo, kto po niej odziedziczył talię cudownych kart, trójnog i naczynie, którego wyziewy miały ją odurzać w chwili urzędowania.

Zresztą, choćby żyła nawet, kto wie, czyby co powiedziała, z obawy, by się nie dostać do ula, na czas wojny zakazano bowiem tu i ówdzie ogłaszania i redagowania jakichkolwiek przepowiedni, dotyczących losu ludzi, wyników wojny i t. d. Nie wolno również zajmować się kładzeniem kart, grafologią, frenologią i innemi podobnemi bzdurstwami.

Tego rodzaju rozporządzenie wydała wprawdzie jenańska dyrekcyja policyi, któż jednak może przewidzieć, czy w jej ślady nie pójdzie jej krakowska siostrzyca? Z policyją zaś zadzierać stanowczo się nie oplaci!

Skoro więc nie mogę zaczerpnąć natchnienia z tej beczki, muszę się przyznać, że co do końca wojny jestem niczem owa tabaka w rogu, która tyle wie, iż nic nie wie, a i to jest podobno oznaką wielkiej mądrości, kronikarz zaś mądrym być chyba powinien!

Właściwie powinienbym złożyć życzenia mym Czytelnikom, bo wiem, iż mnie kochają, a i ja odpłacam im za to tą samą monetą, przyznam się przecież, że jestem na nich lekko urażony. W jednej z kronik poprzednich przymawiałem się lekko, jakie to teraz ciężkie czasy nadchodzą i byłem pewny, że w tygodniu przed świętami drzwi u mnie nie będą się zamykać, że wszędzie stron bowiem pospieszą moi Wielbicieli i Wielbiciele z świętymi prezentami. Po głowie chodziły mi już sympatyczne prosiaczki nadziewane, w ustach czułem smak szyneczki pragskiej i połędwicowej kielbasy, powonienie mile drażniły wonne kołaczki, placki, babki i mazurki, a i oko nie próżnowało, musiało czynić przegląd

licznych baterii węgierskich, pilzneńskich i okolicznych, ustawionych w rowie strzeleckim pod stołem.

Niestety, wszystko to, jak dotąd, pozostało jedynie w sferze marzeń. Drzwi się wprawdzie rzeczywiście nie zamykają, ale jeno dlatego, iż klamka popsuta, a gospodarz nie chce nowej sprawić, dopóki zaległego czynszu nie wyrównam!

Jak więc Kuba Bogu, tak Bóg Kubie! Oświadczam też całkiem uroczyście, iż gniewam się na Czytelników (wyjątek stanowią płacący regularnie prenumeratę) i, aby się na nich zemścić, od Wielkanocy poczynawszy, zaczynam pisać same nastrojowe rzeczy. Będą mnie prosić, bym dał spokój, a ja wówczas powiem:

— Jak się da, to się zrobi!

Z tego samego powodu nie myślę wcale pisać dłuższej kroniki, choć mnie o to proszono kilkakrotnie. Komu ona się podoba, niech ją czyta raz i drugi, raz od początku, a potem od końca i niechaj porównuje, z której strony więcej prawdy i sensu.

Niechaj jednak wiedzą wszyscy, że przebaczam, jako chrześcijanin, krzywdy mi wyrządzone. Skoro za dni kilka trzeba będzie dzielić się jajkiem święconem, proszę pamiętać w danej chwili i o kronikarzu, poświęcić mu gorące wspomnienie i zjeść na jego cześć o jeden kawałek więcej. Należy przecież postępować ostrożnie i z rozważą, jajka bowiem poszły znów w górę w myśl nowej taryfy maksymalnej, można sobie niemi nadto zepsuć żołądek, a wiadomo, że o naprawę potem trudno, zwłaszcza, że nawet olej rycynowy podraża.

Do siebie na święcone nikogo ze staropolską gościnnością nie zapraszam, gdyż, po pierwsze, musiałbym się wstydzić, że Wielkanoc tego roku tak skromnie, a przedewszystkiem „na sucho“ obchodzę, po drugie zaś wiem z doświadczenia, jaki goście mają zazwyczaj wilczy apetyt i pragnienie. Tego się zwłaszcza boję! I ja także, jeśli jestem gdzie zaproszony, robię tak samo, nauczono mnie bowiem, że w ten sposób czyni się przyjemność gospodyn.

Gdy widzi, jak z piorunującą szybkością znikają potrawy i napoje z półmisek, dzbanków i flaszek, raduje się jej dusza i czasem tylko, ale po cichu, szepnie, patrząc na gości, do swego małżonka:

— Dyabli ich tu przynieśli!... Gotowi nas zjeść z bebechami!...

Jak zaś rozłożyć sobie czynność na czas świętany, tego chyba nikomu poddawać nie potrzebuję, przyjął się już zwyczaj, że niedziela przeznaczona jest dla śródmieścia, w poniedziałek odwiedza się ze względu na Emaus znajomych na Zwierzyńcu, wtorek zaś, kto jeszcze wytrzyma, poświęca się Podgórzowi. W ten piękny sposób manifestuje się jedność wszystkich dzielnic, wchodzących już, lub dopiero wejść mających w skład Wielkiego Krakowa.

Równocześnie rozpoczynają święta Paschy i nasi panowie bracia Mojżeszowego wyznania, ze względu na ewakuację nie będą przecież tak wesoło usposobieni, jak po inne lata!

Idąc we wtorek na Podgórze, zajdę może i na Kazimierz, w każdym razie i tu i tam urzęduję wywiady i złożę potem z mych wędrówek zupełnie wyczerpujące sprawozdanie.

Gratulacje dla znajomych i nieznajomych mam już przygotowane, dziś wystarczy życzyć rychłego końca wojny, a jestem pewnym, że tem się każdego zadowoli. Można nawet życzenie kilka razy powtórzyć, co jest o tyle wskazane, iż po każdorazowej repetycji nastąpić musi kolejka, by się tem pewniej spełniło!

Wina nam w Krakowie w święta nie braknie, wodociąg miejski funkcjonuje zupełnie poprawnie, także i piwa jest podstatkiem, sam bowiem widziałem na własne oczy przed bramą handlu „pod Obrazem“ cały wóz ciężkokalibrowych moździerzy, o średnicy większej nawet niż pół metra, a pochodzących z Pilzna, lecz nie z fabryk Skody, ale z mieszkańskiego browaru.

Kogo więc stać na to, ten będzie miał czem ugasić swe pragnienie. Takich zaś będzie dość, każdy przecież odkłada zawsze coś na czarną godzinę, by nie zastała go nieprzygotowanym. A ona właśnie czarną godziną byłyby święta Wielkanocne bez trunkowości, wiadomo bowiem (a przypomina o tem w komunikacie urzędowym i fizykat miejski), że „ryby, grzyby i szwinina potrzebują wina“, a teraz właśnie z pod znaku śledzia wstępuje się na cały tydzień pod znak świńskich delikatesów.

Najważniejsze jednak, czy będziemy mieć pogodę, od kilku dni bowiem widocznie zmieniono znowu odnośnego referenta, a ten, przez pomyłkę, odkręca stale zamiast deszczowego, kurek od śniegu! Kto wie, czy pisząc ongiś żartem, że zamówię sobie u Żeglikowskiego sanki na Emaus, nie powiedziałem mimowoli prawdy...

Niechajby już zresztą i panował sobie mróz, jeśliby to miało się przyczynić do rychlejszego ukończenia wojny. Śnieg i błoto wpływają bardzo dodatnio na ostudzenie zapalów. Wprawdzie generał Kitchenner, a właściwie jego gadatliwa siostra coś tam bajdurzyła, że wojna dopiero się rozpoczęła, ja sam przecież wolę wierzyć drugiemu Anglikowi, to jest generałowi Frenchowi, który powiedział, że jego zdaniem wojna musi się bardzo prędko skończyć, wszystkie bowiem wojujące państwa czują już jej skutki.

Daj mu Boże zdrowie! Oby słowa jego spełniły się! Ja mu za to obiecuję bombę pilznera, jeśliby się przypadkowo po zawarciu pokoju pokazał w Krakowie. Należy mu ją własnoręcznie rodowity (bo chudy!) Anglik, *mister* Focking...

Byłbym na śmierć zapomnieli pochwalić się przed Szanownymi Czytelnikami, iż niewiele brakło, a byłbym znalazł się w tej samej grupie ewakuowanych, co kamienicznicy, o których tak często wspominam.

Ani myślał, że taki zaszczyt może spotkać zwykłego śmiertelnika!

Siedziałem sobie spokojnie przy bombce, myśląc o panu Władysławie, który kiedyś tam dzielnie się z wrogiem potyka i o Krakowie pewnie już zapomnieli, gdy zbliżył się do mnie pewien kamienicznik całkiem autentyczny, dziedzicznie bowiem coś aż trzema kamienicami obciążony, i rzecze:

— Hm! A możeby tak i redaktor chciał należeć do drugiej klasy ewakuowanych?

— Dlaczego nie! — odparłem — A w jaki sposób ja się tam mogę dostać?

— W bardzo prosty! Zrobię pana swym administratorem!

— A czy się uda?

— Dlaczego nie miałoby się udać... Ja w ten sposób już czterem dopomogłem, by się dostali do drugiej klasy. Wie pan co?... Będzie pan administratorem mojej parceli budowlanej!...

Nie śmieję się Czytelniku! W tych wyjątkowych czasach znalazł się i tacy. Każdy, ile miał sił w nogach, a sprytu... (hm! ale gdzie ten spryt się gnieździ w człowieku, tego sam nie wiem!... Dajmy na to, że w głowie!) uciekał, co sił starczyło z klasy czwartej, a pchał się do drugiej.

I pokazało się, że Kraków zamieszkały jest obecnie w dziewięciu dziesiątych częściach przez właścicieli realności, *vulgo* kamieniczników, współwłaścicieli, administratorów i stróżów kamienicznych, wobec czego trzeba będzie opracować nową zupełnie statystykę mieszkańców miasta.

Narzekano nieraz, sam to słyszałem ongiś z ust jednej z mych kuzynek, iż bezbożność tak owładnęła całym światem, że lada dzień spodziewać się powinno gruntownej ewakuacji całego świata, która się odbędzie w dniu sądu ostatecznego. Poprzedzi ją podróż Antychrysta na ognistym wozie (zapewne automobil!...) i inne znaki nadprzyrodzone.

Ponieważ zaś tego rodzaju zdarzenia nazywają się powszechnie cudami, przypuszczam, że koniec świata rzeczywiście się zbliża, w ostatnich bowiem tygodniach zanotowałem dwa takie fakty.

Wywołała je zaś taryfa maksymalna, która co najmniej raz na tydzień ulega podwyżce.

Nie tak dawno brakło w całym Krakowie nafty, zdawało się, że będziemy się bez niej musieli obejść. W tym czasie ogłoszono nową taryfę, wedle której nafta podrożała i stał się cud!... Obeszło się bez Mojżesza, a nafta siknęła całą strugą.

Zupełnie to samo powtórzyło się obecnie ze słoniną i smalcem. Ogłoszono *urbi et orbi*, iż brakło tych artykułów, obecnie niezbędnych dla każdego. Ale nie upłynął tydzień, pojawiła się znowu nowa taryfa z wyższymi cenami, a polcie słoniny wyrosły jak z pod ziemi, a beczki w cudowny sposób napełniły się smalcem, jakby pod działaniem czarodziejskiej różdżki!

Znawcy powiadają, że z góry można przewidzieć, co podrożeje w nowej, pojawić się mającej taryfie, na tydzień bowiem przed jej ogłoszeniem odnośne artykuły giną z przed oczu ludności w dziwny sposób. Można by wobec tego zaśpiewać z poetą: „Któż zbadał kupców piwnic przepastne krainy?...”

Chciałem jeszcze wspomnieć coś o *prima aprili*, ponieważ jednak nie należy uprzedzać wypadków, nie wiem bowiem, kto i w jaki sposób weźmie mnie w tym dniu na kawał, odkładam to do następnego numeru.

Na zakończenie pozwolę sobie złożyć Czytelnikom życzenia wszelkich pomyślności i rychłego odnowienia prenumeraty. Niechaj każdy szanuje swe zdrowie, nikt bowiem nie wie, co mu może zaszkodzić. W „Rumaku Światowida“ wyczytałem niedawno, iż pewna niewiasta objadła się dziurką z obarżanką i wiatry ją wzdęły! A jest to artykuł chyba strawniejszy, niż mięso wieprzowe, które oby nam w tym czasie wyszło na zdrowie!